

nigdy nie była przeciwna jego zachciankom, nawet wówczas gdy zabierał ją na spacer po ogrodach pałacowych. Aleksandra K., o twarzy rozmarzonej dziewczynki z książki z baśniami, pamiętanej z tamtych lat: znowu się zagubiłeś, zwracam ci uwagę, nie będę chodziła na te nudne spacer, masz się mną zajmować. Ależ tak, ależ tak – ale nie wiedział, co się robi podczas spacerów z tak śliczną panną przypominającą rysunki księżniczki z baśni. Odszedł od stołu jedynie po to, by w pokoju obok odszukać tom przechowywany od dzieciennych lat. Na obrazie pulchna, z różem na policzkach dziewczynka nie podobała się mu już dawno, jakże mogła podobać się wówczas. A jednak, ta historia zaczęła się właśnie w dniach, gdy otrzymał tom owych dziwnych opowieści. Przywiozła go naturalnie ciotka „How are you” i oczekiwała grzecznych, wcale niewylewnych podziękowań. Zatem podziękował, a że nie wiedział, co zrobić z otrzymanym zbyt płaskim pakunkiem, po kształcie którego nie mógł spodziewać się ciekawej kolejnej zabawki, najwyżej kolejnej rysowanki, podszedł do stolika, położył go na blacie i delikatnie zaczął rozpakowywać ukryty za szarym papierem przedmiot. Nie potrafił jeszcze czytać i kiedy zobaczył owalnie, od skraju do skraju, biegnące na okładce znaki, poprosił o przeczytanie babcią, lecz ta zajęta podobaaniem się gościom zganiła jego ciekawość. Zatem nie wiedział nadal, co otrzymał i ostrożnie obracał strona po stronie. Na niektórych kartach wcale nie było napisów, tylko duże kolorowe ilustracje. Wtedy poznał dziewczynkę o złotych kędziarach, pierwszą, na jaką zwrócił uwagę. Koniec, basta, posmaruj w końcu tę grzanekę i zjedz śniadanie. Spojrzał na stojący na kredensie kuchenny budzik. Ten spóźniał się jak zawsze, czuł to, choć nie wiedział o ile. Idź już, spóźnisz się, nie zdążysz na tramwaj – pamiętasz, mówiono ci często, ostatni raz przed z górą dwudziestu laty. „Idź już” – tak mówią znudzone kochanki i troskliwe żony. Prawie powiedział to do siebie szeptem. Już dawno z nikim nie rozmawiał, nawet z listonoszem, a prawda i ten już dawno nie zachodził. Wstał ciężko z kulawego stołka, pozbierał statki, kto tak jeszcze dzisiaj mówi, chyba tylko w jego wspomnieniach babka, ale i ta opuściła ten świat zbyt dawno i nagle, by zaświadczyć istnieniu takich wyrazów jak „statki”. Skąd to pojęcie – dostatki czy ostatki, a może stateczny – dojrzały, majątny. Pal sześć! Zdenerwował się na siebie: językowych dywagacji się zachciało. Babka umarła zbyt młodo, dziadkowie często umierają zbyt młodo, pozostawiając po sobie zapomniane przez wszystkich wyrazy, z którymi nie wiadomo co zrobić, bo nikt ich nie używa, nie rozumie, a płaczą się po głowie wnuczka. Co ty wygadujesz, mów normalnie, nie zmyślaj, karcono go, statki pływają po morzu, po rzece, widziałeś je przecież wczoraj! Nic nie widział, stał na molo i niedobrze mu się robiło na sam widok tego wzburzonego

wokół morza, a ciotka namawiała ojca, by popłynęli tą jedną ze stojących u nabrzeża łodzi spacerowych. Strach, strach przed podróżą po rozhuśtanych falach do dzisiaj go prześladował. Koniec, definitywny koniec z rozhuśtaniem, włożeniem na oślizłe skały, jemu starczy za wszystko karłowaty krzak bzu za oknem. Tyle że tego okna już nie ma. To znaczy jest, lecz patrzy przez nie kto inny. „Panno Krystyno, niech pani tak nie patrzy”. To okno zostawił i zabawki zostawił, nie, zabawki wyrzucił, popsuł, zestarzały się, przyszedł po nie Tse Tse Apepe, zagarnął do pudła, sam mu w tym pomagał i wyniósł. Dostał za to jeszcze dodatkowo parę złotych: ile pan chce? Żeby było dużo! Matka wysypała mu na złożone dłonie zawartość skarbonki, rozbiwszy ją poprzednio młotkiem. Było tego dużo, same dziesięcio- i dwudziestogroszówki zbierane od lat. Masz, kup sobie za to loda, cukierków. Nie, on jest oszczędny, prawda, ma nawet skarbonkę. I przynosił skarbonkę-domek w kolorze czekolady i potrząsał na znak, iż tak jest rzeczywiście, oszczędny. Z dumą na twarzy stał, aż w końcu zwracano na niego uwagę i ktoś wrzucał, do trzymanej w wyciągniętych rękach skarbonki, wydobytą z kieszeni drobną monetę. Ile to lat tak wrzucał, ile to razy był dumny, o czym to nie marzył. Mamo, a co za to będę mógł kupić, jak skarbonka będzie pełna? A co chciałbyś sobie kupić? Odpowiadała pytaniem. Nie wiedział: może to, co widział w witrynie sklepu z używanymi częściami radiowymi, a może ten słój z cukierkami. Nic. Tse Tse Apepe odszedł zadowolony z jego wyrzuconymi na śmietnik marzeniami. Nic to, kupię ci skarbonkę i uzbierasz na nowo. Nie dostał. Był już za duży na małe, groszowe datki, a większych, stosownych do wieku nie dostawał. Raz w roku, za świadectwo ojciec dawał mu dwadzieścia złotych. Koniec, koniec, koniec. Tse Tse Apepe, duże zdzienniałe chłopaczysko kupi za nie trochę tytoniu, może butelczynę piwa. Będzie szczęśliwy w sobie tylko wiadomy sposób. W pokoju zrobiło się niespodziewanie dużo miejsca. Aż echo dudniło, gdy zwracało się głowę w stronę opróżnionej po zabawkach półce. Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, pamiętał to dostatecznie dobrze, czym je zapelni. Nie, nie były to pudła z ołowianymi żołnierzami ani stojące obok siebie modele samochodów, lecz książki. Odtąd jego półka, a za jakiś czas półki, zaczęły zapelniać się książkami. Tego Tse Tse Apepe mu nie zabierze. Nie umie czytać, na nic mu się nie przydadzą, a i marna nie odda ich na makulaturę. Wtedy, w każdym razie początkowo, nie zastanawiał się, jakie to mają być książki. Były w nich obrazki z księżniczkami, przystojnymi młodzieńcami w wysokich kapeluszkach i krągłych czarnych melonikach. Szybko jednak okazało się, że to jedyna książka z obrazkami, jaką sobie wymarzył. W pozostałych ludzie jeździli w dziwnych pojazdach z wystającą pionowo rurą, z której dymił czarny dym, albo chodzili po troje lub czworo

z powiewającymi majestatycznie sztandarami. Wszyscy byli zawsze uśmiechnięci, mówili do siebie nienaturalnymi słowami lub śpiewali pieśni o czymś, czego nie rozumiał. Śmieszni ludzie udawali, iż wiedzą, co i jak należy zrobić, by mrzonki stały się rzeczywistością – śmieszne kukielki, którymi poruszała nieco większa kukła.

Pokazywano ją często w czasopiśmie i w książkach, była to głowa mężczyzny uśmiechającego się dobrotliwie z za sumiastych wąsów. Zwano go też dobrotliwie: Soso Dżugaszwili. Kłamstwo, kłamstwo, dobrotliwy mężczyzna okazał się tyranem, jak wielu przed nim, jak wielu po nim. Tse Tse Apepe nie miał wąsów i chyba nie wiedział, kto to był Soso... Dzisiaj to nie ma znaczenia, chyba nie ma znaczenia. Zerknął przelotnie w kierunku zegara. Nie zauważył nawet, jak zniknęła kromka chleba, którą w końcu posmarował i zjadł bez smaku. Dopił też gorzkiego napoju. Tse Tse Apepe o tej porze zazwyczaj już wracał, ciągnąc za sobą pusty wózek, a pies zanosił się charkotem, znakiem pełnym nienawiści do wszystkiego, co żyje na wolności. Tymczasem cisza panowała wokół, na podwórzu, w kącie, gdzie stała buda i piętrzył się, nikomu niepotrzebny stos zardzewiałych sprzętów niegdyś potrzebnych, będących przedmiotem gwałtownego pożądania, a dzisiaj jedynie Tse Tse Apepe mógłby je załadować na swój wózek i wywieźć na pobliski skład złomu, gdyby ktoś zlitował się i zabrał z podwórza psa. No, nareszcie usłyszał pierwszy pomruk Barego, nieomylny znak, iż zbliżył się czas powrotu szczęśliwego nędzara, ale dzisiaj jest jakoś inaczej. Wózek jest znany, lecz ciągnie go dwóch nieznanym mężczyznom, znacznie młodszych od Tse Tse Apepe. On sam leży wygodnie na derde rozpostartej na dnie pojeźdu. Nie jest ciężki, bo choć ulica wiedzie w tym miejscu pod górę, to ciągnący taczankę osobnicy czynią to bez wysiłku. Pewnie stary zdążył się spić za te parę złotych, które dzisiaj zarobił. Szczekanie psa niespodziewanie umilkło, jakby oberwał kamieniem, skulił się i ze skowytami skrył w budzie. Tse Tse Apepe nie poruszył się, jego prawa noga bez oporu orała ziemię, objęła się o wystające kamienie. Mężczyźni przystanęli, jeden z nich przytrzymał lekki pojazd, gdy drugi zapalał papierosa. Obserwowany obraz nagle się zaćmił, zamazał, ból przeszył klatkę. To tak się zjawia, czemu tak boli, może minie, przejdzie, „panno Krystynu, niech panna tak nie patrzy, to zaraz przejdzie, to ...”

**Wojciech Piotrowski**

